

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Helena Zawistowska

**W PAŃSTWIE
PODZIEMNEGO
GNOMA**

Opowieść baśniowa

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Rozdział pierwszy

Czar-Baba

Wszyscy wiedzą, że na ziemi żyją ludzie i zwierzęta, w wodzie ryby i rozmaite żyjątka, w powietrzu latają ptaki i owady, ale tylko jedna osoba wie o tym, że gdzieś pod ziemią istnieje kraj zamieszkały przez podziemnych ludzi. Osobą tą jest Czar-Baba.

Nie jest ona ani czarownicą, ani wróżką, lecz zwykłą kobietą, tyle tylko, że wie o wszystkim, no, prawie o wszystkim, co dzieje się na ziemi, w wodzie, w powietrzu i pod ziemią.

Nic dziwnego, że wszystko co żyje szuka u niej ratunku w razie nieszczęścia, a Czar-Baba znając różne tajemnice, zawsze potrafi pomóc lub chociaż doradzić. Mieszka w leśnym domku na polanie otoczonej ciemnym borem.

Czar-Baba jest duża i gruba, nosi zawsze bluzkę w kwiatki i ogromny pasiasty fartuch, a na głowie chustkę, którą zawiązuje sobie pod brodą na kokardkę. Nikt by nie zgadł patrząc na nią, że jest taka mądra.

Historia, którą usłyszycie, wydarzyła się zupełnie niedawno, ale Czar-Baba nie zdradziła nikomu odkrytych przez siebie tajemnic i dlatego nadal nikt z ludzi nie może znaleźć podziemnego państwa, a są nawet tacy, którzy nie wierzą w jego istnienie. Ale ono istnieje, bo skąd by się wzięły przygody Czar-Baby? Przecież jej się nie śniło, ona tam była.

Rozdział drugi

Jowita i białe czaple

Na skraju wioski, nad jeziorem w pobliżu lasu mieszkała w małej chatce Jowita z trojgiem ślicznych, małych dzieci. Sławek, który miał piec lat opiekował się swoimi młodszymi siostrzyczkami, Bogunią i Jagódką. Ich tatuś wyjechał do pracy w mieście. Cała rodzinka czekała na jego powrót z utęsknieniem, bo bardzo się wszyscy kochali. Tak to sobie żyli szczęśliwie i spokojnie. Jowita pokazywała dzieciom świat i jego cuda: przepiękne drzewa w lesie, rozłożyste paprocie rosnące w cieniu, skrywające zielony mech, kwiaty na łące i szuwały nad jeziorem, rozlewisko rzeki, ryby i ptaki. Ale najpiękniejsze wydawały się Jowicie i dzieciom białe czaple. Każdego roku trzy białe czaple mieszały przez całe lato w pobliżu, nad jeziorem. Czy wtedy, gdy brodziły w przybrzeżnej wodzie, czy też, gdy stały zadumane na jednej nodze – wyglądały pięknie. Wydawało się, że czaple oswoiły się zupełnie i też polubiły ludzi. Nie bały się, gdy dzieci podchodziły blisko. Przeciwnie, wyciągały do nich szyje, a potem spokojnie łowiły ryby w jeziorze.

Pewnego dnia dzieci same wyszły z domu. Nie wiadomo, czy Jowita była zajęta, czy może chora. Dzieci odwiedziły czaple, brodziły w strumieniu, bawiły się na łące, aż zbliżyły się do skraju lasu. Tam roześmiane i wesołe bawiły się w „chowanego”.

Nagle w krzakach coś się poruszyło, coś się zakotłowało, z zarośli wyciągnęły się jakieś ręce, pochwyliły dzieci i wciągnęły je w gęstwinę leśną. Białe czaple wszystko widziały, ale cóż mogły zrobić?

Gdy dzieci nie powróciły do domu, rozpacz Jowity nie miała granic. Przez wiele dni i nocy chodziła po lesie i po okolicy szukając i nawołując. A gdy nie znalazła, wyczerpana usiadła na murawie płacząc i tak zawodziła:

– Ach, me ukochane, moje biedne skowroneczki, cóż się z wami stało, gdzież mam was szukać?

A białe czaple wszystko widziały, wszystko słyszały, ale nic nie powiedziały, bo nie umiały mówić. Następnego dnia Jowita znowu się żaliła:

– Nie ma ich, nie ma. Smutek i rozpacz. Cóż nam począć? Płakać nawet nie mogę, nie mam łez oczy wyschły, serce zamiera z trwogi i tęsknoty.

A białe czaple wszystko widziały, wszystko słyszały, ale nic nie powiedziały, tylko były bardzo smutne.

Trzeciego dnia Jowita przysła nad jezioro i powiedziała do czapli:

– Czaple! Macie skrzydła szerokie, oko bystre, lećcie, może spod obłoków zobaczycie gdzieś w świecie moje kwiatuszki najmilsze, moje gołąbeczki.

Wtedy czaple rozwinęły skrzydła i poleciały. Leciały długo, nad polami, nad borem, aż opadły na polanie przed domkiem leśnym Czar-Baby. Zwiesiły smutnie głowy nic nie mówiąc.

Czar-Baba od razu domyśliła się, że stało się coś złego, więc powiedziała:

– Lećcie czaple i prowadźcie tam, gdzie stało się nieszczęście. Będę podążać za wami ile sił w nogach.

I tak też było. Czaple leciały górą, a Czar-Baba szła śpiesznie dołem. Dotarli nad jezioro przed chatkę. Na progu siedziała biedna matka i cicho płakała, ale oczy jej były suche, bo już nie miała łez. Gdy Czar-Baba to zobaczyła, zawołała:

– Jowito, nie masz łez, więc jesteś najniezszczęśliwszą z ludzi. A to może oznaczać tylko jedno: straciłaś dzieci. Teraz najważniejsze, abyś nie umarła ze zgrzyoty. Uspokój się, czekaj cierpliwie. Ja je odnajdę.

Jowita ją poznała i wyszeptwała:

– Dobrze, skoro tak mówisz, nie stracę nadziei. Będę czekała na nie całe życie.

– Ależ Jowito, po co tak długo? Tydzień, dwa – to wystarczy.

– Wiec wiesz gdzie są?

– Może wiem, może nie wiem, bądź cierpliwa i nie rozchoruj się.

To rzekłszy Czar-Baba odeszła, a idąc mruczała:

– Możliwe, że to sprawka tego Gnoma, który siedzi pod ziemią. Dotąd nigdy nikomu nie szkodził, toteż nie wtrącałam się w jego sprawy. Ale teraz się wtrączę! Lecz po co mu nasze dzieci? nie wiem. Mimo wszystko zacznę od niego. Jeśli się okaże, że to nie on, pójdę dalej. A przy okazji zobaczę to podziemne królestwo. Trudno sobie wyobrazić jak oni żyją. Mieszkają chyba w domkach ulepionych z gliny, czy ziemi, której tam w głębi nie brakuje. Jadają pewnie same korzonki. Już wkrótce przekonam się sama.

Szybkim krokiem przemierzała leśne gąszcze. Bór stawał się coraz bardziej gęsty i mroczny. Rozłożyste korony drzew zasłaniały niebo, u dołu kolczaste krzaki, zeschnięte gałęzie i zwalone pnie zagradzały drogę, wielkie, chwytliwe paprocie oplątywały nogi, a stopy grzęzły w wilgotnym mchu i ślizgały się na gnijących liściach. Nierzadko przemykały węże i jadowite żmije lub pokazywały się w zaroślach ślepią złego wilka. Ale Czar-Baba ciągle szła. Wreszcie dotarła do samego serca puszczy. Ptaki tu nie śpiewały, kwiaty nie kwitły. Było ciemno i straszno. Lecz ona niczego się nie bała. Obejrzała się za siebie, zatrzymała się. potem długo szukała czegoś na ziemi, aż uznała, że jest na miejscu. Jakie to były znaki – nie wiadomo. Tylko ona wiedziała, jak wejść do Podziemia.

Rozdział trzeci

Podziemne miasto

Czar-Baba tupnęła nogą i oto ziemia pod jej stopami rozsunała się. Ukazał się otwór i schody prowadzące w dół. Gdy tylko weszła na nie, ziemia się zamknęła. Ogarnęły ją nieprzeniknione ciemności. Długo schodziła w dół trzymając się kurczowo poręczy schodów. Wreszcie w oddali zajaśniało światelko. Jeszcze minuta i Czar-Baba znalazła się na samym dole w małym korytarzyku. Przy schodach stała budka strażnicza, a nad nią, zdumiewające, przytwierdzona do sufitu paliła się żarówka. Czar-Baba patrzyła, oczom nie wierząc. Tu – elektryczność? Z budki wyszedł wartownik. Był to człowiek niskiego wzrostu, ale barczysty, ubrany jak każdy wartownik, miał nawet karabin przewieszony przez ramię.

Czar-Baba wykrztusiła:

– Dzień dobry.

Wartownik obejrzał ją od stóp do głowy i powiedział grzecznie:

– Dzień dobry pani. Przypuszczam, że przybyła pani z Nadziem. Czym mogę służyć?

Czar-Baba ochłoneła z pierwszego wrażenia i odpowiedziała szybko:

– Przyszłam w ważnej sprawie. Muszę się koniecznie widzieć z waszym królem.

– Nie ma króla, jest prezydent.

– Prezydent? – zdumiała się Czar-Baba. – Wiec zobaczę się z prezydentem.

– Dobrze ale muszę spytać, czy pan prezydent przyjmie panią. Zaraz zatelefonuję.

Wartownik cofnął się do budki. Po chwili wyszedł i powiedział:

– Załatwione. Proszę za mną.

Otworzył drzwi i wyszli z korytarzyka wprost na ulicę. Czar-Baba zdębiała: zobaczyła przed sobą prawdziwe miasto! Murowane domy stały równymi szeregami, ulice były szerokie i ruchliwe. Po jezdniach jeździły autobusy, samochody i ciężarówki. Na chodnikach – tłum pieszych. Ponad miastem rozciągało się ogromne sklepienie wyłożone płytami, podtrzymywane w niektórych miejscach przez słupy. Było jasno jak na ziemi, bo na całym sklepieniu jażyły się, rozmieszczone równomiernie, elektryczne latarnie.

– Miasto jak na ziemi – szepnęła do siebie Czar-Baba. – Jakże to jest możliwe? Czy ja śnię?

Ale było coś dziwnego w tym widoku. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że domy nie mają okien i że wszystko: ludzie, pojazdy, domy – są jakby pomniejszone. No tak, ludzie ci byli szczupli i prawie o głowę od niej niżsi. Poruszali się też jakby w zwolnionym tempie, ale wyglądali uroczo: kobiety nosiły długie suknie, przeważnie białe, mężczyźni – jasne ubrania.

Podczas gdy zdumiona Czar-Baba przyglądała się, wartownik przyprowadził dwóch policjantów. We trójkę naradzali się, jak przewieźć tak dużą osobę do pałacu. Ustalono, że trzeba zatrzymać możliwie największy autobus. Ruszyli więc na przystanek autobusowy, a za nimi cały tłum ludzi oglądających z podziwem i ciekawością ogromną kobietę, nigdy bowiem nie widzieli człowieka z Nadziem. Gdy wreszcie autobus przyjechał, wyłoniła się nowa trudność: Czar-Baba nie zmieściła się w drzwiach pojazdu.

– Niech usiądzie na dachu – poradził ktoś z tłumu.

– Tak, tak będzie najlepiej – przytaknął kierowca.

Cóż było robić. Czar-Baba wgramoliła się na dach autobusu i jakoś się tam usadowiła. Autobus ruszył. Kierowca był tak przejęty, że cały czas trąbił, inne pojazdy zjeżdżały z drogi, ludzie pierzchali na wszystkie strony, a Czar-Baba trzymała się kurczowo wątku, jak na jej ciężar pojazdu. Jej ogromny fartuch powiewał i wydymał się na wietrze niczym parasol. W

pewnej chwili wśród pasażerów wszczął się popłoch, bo nagle dach zaczął się załamywać. Podniosły się krzyki i wołania o pomoc. Kierowca musiał zatrzymać autobus. Policjanci wyskoczyli z autobusu.

– Musi pani zejść – zawołał jeden.

Ale Czar-Baba nie mogła się ruszyć, bo jej spódnica zahaczyła o kawał pękniętej blachy. Przyniesiono skądś drabinę. Policjant wszedł na dach i wyciągnął suknię ze szpary. Ale co dalej?

– Idziemy na piechotę – zdecydowała Czar-Baba.

– Nie, pojedziemy kolejką podziemną, wagony są większe od autobusu.

Zeszli po schodach do stacji metra. Tam znowu otoczył ich tłum ciekawskich. Gdy pociąg podjechał, okazało się, że jednak i tu drzwi są za wąskie. Ale policjanci zawyrokowali:

– Nie jest tak źle, wszyscy nam pomogą.

I oto cały tłum śmiejąc się i żartując wepchnął na siłę Czar-Babę do środka. Ponieważ wagon był za niski usadowiła się na podłodze, siadając po turecku. Co to była za sensacja! Małutkie dzieci otoczyły ją kołem, co śmielsze włożyły na kolana i mościły się w tym jej ogromnym fartuchu, jak w gnieździe. Inne bały się i uciekały do rodziców. Policjant objaśnił, że ta gruba osoba przybyła z Nadziemnia.

– Ach, więc tacy są tam ludzie! – wykrzyknęła jedna z pasażerek. – Za żadne skarby świata nie chciałabym tak wyglądać jak ona.

Wreszcie jazda się skończyła. Tu – nowa trudność: jak wyjść z wagonu? Nic nie pomogło wypychanie bo duża postać Czar-Baby utknęła w drzwiach i nie mogła się precyzyjnie przód, ani w tył.

– Ha, to ci kawał – martwił się policjant.

Przyszedł maszynista, zawiadowca stacji i inne osobistości.

– Trzeba rozebrać ścianę – osądził starszy z policjantów.

– Nigdy się na to nie zgodzę! – krzyknął kierownik ruchu. – Zepsuć wagon? Ja odpowiadam za pociąg. Niech lepiej ta pani trochę schudnie.

– Ależ ona może chudnąć tydzień lub miesiąc!

– To odstawimy ten wagon na bocznice i niech tam sobie chudnie.

– Ona jedzie do pana prezydenta i my mamy ją doprowadzić do pałacu – rzekł z godnością policjant.

– Mimo wszystko nie zgadzam się na rozbicie wagonu.

Nastąpiło zamieszanie. W tym niezwykłym wydarzeniu wziął udział cały tłum podróżnych. Jedni uważali, że policjanci mają rację, inni – że kierownik. Wszyscy się ze sobą kłócili, krzyczeli i dawali różne rady. Policjanci się zdenerwowali i zaczęli rozpędzać zbiegowisko. Wtedy zabrała głos Czar-Baba:

– Nie zamierzam ani schudnąć, ani tkwić tutaj choćby chwilę dłużej.

Poszperała w przepastnych kieszeniach swego fartucha i wyciągnęła sakiewkę.

– Łap kierownika, płacę za wagon, rozwalajcie!

Natychmiast wszyscy się uspokoili. Zawołano robotników, a ci szybko rozebrali ścianę. Czar-Baba wyszła i odetchnęła:

– Uff, mam zupełnie zgniecioną wątrobę i jeszcze musiałam za to zapłacić!

– Teraz pójdziemy piechotą – powiedział policjant – to już blisko.

Rzeczywiście, gdy wyszli na ulicę i minęli kilka przecznic, ukazał się obszerny plac. Po drugiej stronie placu wznosił się ogromny pałac. Był to okazały budynek (również bez okien) z wieżą, na której widniał ogromny zegar. Niezwykła to była wieża. Nie było widać jej wierzchołka, bo strzelała wysoko i jak gdyby przebijała sklepienie kończąc się nie wiadomo gdzie.

– Ciekawa wieża – pomyślała Czar-Baba.

Tymczasem przemierzyli plac i weszli do pałacu. Tutaj znaleźli sekretariat i straszy policjant powiedział:

– Oto człowiek – kobieta z Nadziemia.

Urzednicy otoczyli ich kołem oglądając Czar-Babę jak dziwoląga. Główny sekretarz, ma-lutki, grubiutki, wziął Czar-Babę za kraj fartucha i poprowadził ją długim korytarzem. Za-trzymali się przed drzwiami, nad którymi wisiała tabliczka z napisem:

Prezydent Jan Godfryd Pierwszy Gnom

Rozdział czwarty

Wielki Gnom

Weszli do dużej sali jasno oświetlonej licznymi lampami. Pośrodku stał okrągły stół, a przy nim siedział Wielki Gnom. Wygląd jego mógłby każdego przstraszyć: był bardzo niskiego wzrostu, ale miał dużą, łysą głowę, która jakby się chwiała na cienkiej szyi. Szeroko rozstawione oczy patrzyły władczo i nieprzyjaźnie. Na zapadniętych policzkach widniały bruzdy sięgające wąskich ust, a rzadka siwo-ruda broda zwisała aż do stołu. Czar-Baba poczuła się nieswojo aż zaniemówiła z wrażenia. On też się jej przypatrywał dobrą chwilę. Wreszcie od-
dalił sekretarza i rzekł:

– Witam cię Czar-Babo, z czym przychodzisz?

– Oho, wie kim jestem – pomyślała – trzeba uważać.

– Ach, drobiazg – rzekła. – Zabłąkało się w lesie troje małych dzieci, więc szukając ich zasłałam i tu, bo przecież mogły wpaść przez jakiś otwór do waszego Podziemia.

– Wiedziałbym o tym. Wszystkie wyjścia i otwory wentylacyjne są pilnie strzeżone.

– Więc może ktoś je zaprosił, aby pobawiły się z waszymi dziećmi.

– A ja pani oświadczam, że żadnych waszych dzieci w moim mieście nie ma – powiedział twardo. Ale zaraz dodał łaskawie: – Skoro już tu jesteś, nie odmawiam gościny. Zwiedzaj miasto ile chcesz, a sama się przekonasz, że nie ma tu czego szukać.

– Tak, tak, panie prezydencie, każdego zniechęciłoby takie oświadczenie, tylko nie mnie. Ale czy pozwala mi pan szukać dlatego, że ich tu nie ma, czy dlatego, że ich nie można znaleźć?

– Sprytna jesteś, ale tutaj na nic nie przyda się twój spryt.

– No cóż, prezydencie, ale mnie jednak zaprosiłeś, więc chyba skorzystam z tego.

– Dobrze, dobrze, siadaj. Ten oto fotel zrobiono specjalnie dla ciebie w ciągu tego krótkiego czasu, jaki minął od telefonu wartownika.

– Czy mocny? – spytała sadowiąc się w fotelu.

– Mocny. Domyślałam się, że skoro pytasz, coś już rozwaliałś po drodze.

– Tak, ale zapłaciłam. Myślę, że mi zwrócisz te pieniądze, prezydencie. Czy to moja wina, że u was wszystko jest dla mnie za małe i kruche?

– A czy to moja wina, że tu przyszłaś? Sama wtargnęłaś do mego państwa. Wracając do sprawy: możesz szperać w moim mieście, myślę, że pięć dni ci wystarczy, aby przekonać się, że nie ma tu dzieci, których szukasz. Dokładnie we wtorek o godzinie (tu spojrzął na zegar) siódmej wieczorem spotkamy się w tym samym miejscu i pożegnamy się. Wtedy opuścisz Podziemie. Przyjmujesz te warunki?

– Tak, oczywiście, ale jeśli znajdę...

– Nie ma o czym mówić – przerwał jej szorstko.

– Ale jeszcze jedno: proszę, abyś dała słowo honoru, że nie powiesz o nas nikomu, gdy stąd wyjdiesz.

Czar-Baba uznała, że prośba jest słuszna i rzekła:

– Daję słowo honoru, że nie powiem. Nawet wtedy, gdy znajdę dzieci.

Gnom uderzył pięścią w stół, aż Czar-Baba podskoczyła na swoim fotelu, takie to było niespodziewane.

– Jak śmiesz mi ciągle zaprzeczać! – wrzasnął. – Czy wiesz do kogo mówisz? Jestem władcą, mogę cię... mogę cię... – twarz jego zaczęła drgać, na ustach pojawiła się piana. Wstał z krzesła.

Czar-Baba zerwała się przerażona. Jednak po chwili Gnom opanował się. Usiadł i powiedział:

– Dobrze, już dobrze, zawarliśmy układ, więc dotrzymam słowa, tylko proszę, abyś nie mówiła nikomu o naszej rozmowie. Potem niespodziewanie uśmiechnął się i przybrał dobroduszny wyraz twarzy. – A teraz zjemy kolację – rzekł i klasnął w dłonie.

Natychmiast lokaje wnieśli nakrycia i półmiski. Jednocześnie weszło wiele osób ubranych wieczorowo. Prezydent dokonał prezentacji.

– Oto moi ministrowie i ich żony. A to jest Czar-Baba – przybysz z Nadziemia. Jest prawie tak mądra jak ja, więc miejcie się na baczności, ministrowie – zażartował.

Czar-Baba była ciągle pod wrażeniem tej, tak bardzo przykłej rozmowy z Gnomem, ale trzeba było rozmawiać, bo wszyscy byli mili i interesowali się jej osobą. Wreszcie i ona spytała:

– Ciekawa jestem, skąd wiecie, kiedy jest dzień, a kiedy noc. Przecież tu słońce nigdy nie zagląda.

– Nic prostszego – odparł minister od dnia i nocy. – Mamy astronoma, który śledzi bieg słońca, księżyca oraz pogodę na ziemi. Wyznacza na każdy dzień roku godzinę wschodu i zachodu słońca. Te wiadomości otrzymuje dyrektor elektrowni i kieruje oświetleniem. O oznaczonej godzinie gasną latarnie dzienne, a na ulicach i w domach zapalają się przyćmione, nocne. O wschodzie słońca – odwrotnie.

– A dlaczego wasze domy nie mają okien?

– Taki tu już zwyczaj. W każdym pomieszczeniu i tak musi być oświetlenie.

– A nie jest wam smutno bez roślin i zwierząt?

– Wcale nie jest smutno! – wykrzyknął minister do spraw zagranicznych. – Bywam w Nadziemiu, nie ma tam nic ani pięknego, ani wesołego. Rośliny oplątują nogi, zupełnie nie można chodzić, a zwierzęta są przerażające. Kiedyś skoczyła mi na głowę wiewiórka, myślałem, że rozszarpie mnie ten potwór. W nocy jest u was zbyt ciemno, a w dzień – za jasno, słońce oślepia, można stracić wzrok. A deszcz! Brrr, coś wstrętnego, można zmoknąć! Stano-wczo nasz kraj jest lepszy.

– Każda sroka swój ogon chwali – mruknęła do siebie Czar-Baba.

– Proszę? Nie dosłyszałem.

– Ech, nic ciekawego.

– A co do zwierząt – zabrał głos minister bezpieczeństwa podziemnego – są u nas myszy – plaga magazynów i spiżarni oraz koty, które trzymamy specjalnie, aby tępiły myszy. Nie znamy lepszego sposobu, chociaż koty są okropne, wszyscy się ich panicznie boją. Ja też – zaśmiał się.

Czar-Baba chciała jeszcze o coś zapytać, ale oto światła przygasły, dzień się kończył. Wielki Gnom wstał i powiedział:

– Pani Czar-Baba zostanie u nas pięć dni. Chce dokładnie obejrzeć nasze miasto. Niech minister bezpieczeństwa podziemnego wyda jej na piśmie zezwolenie, aby nikt nie robił trudności. Dobranoc.

Rozdział piąty

Poszukiwania

Zaprowadzono Czar-Babę do jej pokoju. Był wyjątkowo wysoki, a łóżko wyglądało na bardzo mocne. Ale ona długo nie mogła zasnąć rozmyślając nad wszystkim, co widziała i słyszała. Na wspomnienie Gnoma wzdygnęła się. – Dlaczego wtedy w rozmowie tak się wściekł – myślała – albo rzeczywiście nie ma dzieci w Podziemiu, albo chciał mnie zastraszyć, ale po co, jeśli jest niewinny? Zaczęło jej coś świtać. „Nie uciekaj w stronę, w którą będą cię gonić” – przypomniała sobie stare powiedzenie. Więc jeśli pozwala szukać w mieście, to znaczy, że w mieście ich nie ma. A co jest poza miastem? Jutro sprawdzę – pomyślała i zasnęła.

Nazajutrz sam główny kucharz przyniósł jej do pokoju śniadanie. Podziękowała i powiedziała:

- Panie kucharzu, wasze miasto jest piękne i duże, ale co jest poza miastem?
- Nic – odparł kucharz.

To samo słówko usłyszała tego dnia wiele razy od każdego, kogo pytała, co jest poza miastem. Dlaczego nikt nie wie – dziwiła się – muszę sprawdzić sama, ale nie będę wsiadała do żadnego pojazdu, wolę chodzić piechotą. Cały dzień wędrowała po mieście, ale niczego się nie dowiedziała. Całe miasto było otoczone murem, który łączył się ze sklepieniem. Żadnych wyjść, bram, czy furtek. To samo w stacjach kolejki podziemnej. Gdy przemierzała ulice, wszyscy oglądali się za nią, bo wiadano już, że jest w Podziemiu taka niezwykła osoba. Słyszała nawet, jak mówili między sobą, że nigdy nie chcieliby żyć na górze, gdzie się zdarzają podobno deszcze, jakieś burze, wojny, no i są okropne potwory – zwierzęta.

Wróciła bardzo zmęczona i rozczarowana, ale nie zniechęcona. Postanowiła obejrzeć nazajutrz dokładnie pałac, który miał wiele pomieszczeń i piwnic, a dopiero potem zastanowić się, co dalej.

Następnego dnia zwiedzała więc pałac. Obeszła wszystkie pokoje, sale i gabinety pięknie i bogato urządzone, nie znajdując nigdzie żadnych kryjówek, czy ukrytych drzwi. Poszła więc do pomieszczeń gospodarczych i do piwnic. Magazynier sam oprowadzał ją wszędzie, ale nigdzie nie zauważyła nic podejrzanego – żadnych zamaskowanych wyjść, czy schodków. Zaciekawiała ją tylko tak zwana „kociarnia”. Była to ogrodzona część korytarza gdzie trzymano koty, które wypuszczano w razie pojawienia się myszy. Tylko magazynier nie bał się kotów. Inni uciekali w popłochu, gdy koty polowały na myszy. Widząc przepełnione spiżarnie Czar-Baba pomyślała, że muszą przywozić towary spoza miasta. To wydawało się tak oczywiste, że z nową nadzieją zapytała magazyniera:

– Czy może mi pan zdradzić, w jaki sposób zaopatrujecie się w towary? Czy przywozicie z Nadziemia?

– Skądże, codziennie ciężarówki przywożą wszystko, czego potrzeba z Głównego Magazynu.

– A skąd się wzięły w Głównym Magazynie?

– Tego to ja nie wiem. Ale, ale, widzę kierownika Głównego Magazynu, odwiedza nas czasem. Hej, Protazy! Chodź tu!

Protazy był już niemłody i trochę utykał na jedną nogę, ale widać było, że jest ruchliwy i energiczny.

– Ta pani jest ciekawa, jak zaopatrujesz swój magazyn w towary. Kupujesz gdzieś, czy co? Protazy uśmiechnął się.

– Dzie-dzień dobry – lekko jąkał się. – Skądże, wysyłam ciężarówkę na-na dworzec towarowy i odbieramy z pociągu to-towary.

– A skąd pociągi przywożą te towary? – spytała Czar-Baba.

– N-nie wiem, nie moja sprawa.

– Więc kto wie!?! – wykrzyknęła.

– Chyba bę-będzie wiedział Błażej Wąsacz, ko-kolejarz.

– Gdzie go szukać?

– Na dworcu towarowym. Trzeba iść prosto, po-potem w lewo.

Czar-Baba ruszyła tam nie zwlekając. Znalazła szybko dworzec. Na stopniach wagonu siedział kolejarz z ogromnymi wąsami i palił fajkę.

– Dzień dobry – powiedziała Czar-Baba. – Czy jest pan Błażejem?

– Aha, jestem.

– Powiedziano mi, że może mi pan wyjaśnić, skąd przywozicie towary. Chyba spoza miasta lub z Nadziemia?

– Skądże – odpowiedział Błażej. – Z wielkiej Składnicy Towarowej. Oho, ho! tam tego jest zawsze pod sufit. Pocziwy, stary Prot wszystko potrafi. Ładują mi do wagonów i tu przywożą.

– Prot? Prot, to może Protazy?

– Nie wiem, wszyscy mówią na niego „Stary Prot”, choć on jeszcze młody. Trochę się jąka, ale to nie przeszkadza.

– Czy kuleje?

– Co, proszę?

– Pytam, czy utyka na nogę?

– Kto go tam wie, niby nie utyka.

– A ów Prot, skąd bierze towary?

– Nie wiem, po co pani wiedzieć, toć to wszystko jedno...

Czar-Baba nie słuchała, odeszła z zamętem w głowie. Miała wrażenie, że wszyscy tutaj tkwią w jakimś zaklętym kole. – To niesamowite – myślała – co to wszystko znaczy? A może im nie wolno mówić o niektórych rzeczach? Trzeba jeszcze zajrzeć do wieży, w bajkach zawsze zamykają porwane królowny w wieży. A ta wygląda dość tajemniczo.

Po powrocie do pałacu spytała napotkanego w korytarzu pokojowca:

– Mój chłopcze, powiedz mi, gdzie jest wejście do wieży?

– Chętnie – odrzekł – proszę iść za mną. Ale – tu zrobił zatroskaną minę – nie wiem, czy będzie pani mogła wejść po schodach.

– Co, są pewnie zbyt wąskie dla mojej grubej osoby – zaśmiała się.

– Chłopak zaczerwienił się, bo nie chciał sprawić jej przykrości.

– Nie to, ale te schody są stare i zniszczone.

– Więc mogą się załamać pod moim ciężarem?

– E, może się nie załamią – uśmiechnął się chłopak. – To tu.

– Dziękuję ci, poradzę sobie.

Czar-Baba zaczęła się wspinać, ale rzeczywiście, drewniane stopnie trzeszczały i uginały się pod nią. Im wyżej, tym gorzej. Aż nastąpiła katastrofa: rozległ się trzask i stopa Czar-Baby uwięzła w drzazgach złamanej deski. Z trudem wyciągnęła nogę chwytając się poręczy i załamek muru. Co robić? Uznała, że jednak bezpieczniej iść dalej, niż schodzić na dół. Posuwała się powoli łamiąc co drugi stopień. Cudem wprost dobrnęła do jakichś drzwi. Zapukała. Usłyszała kobiecy głos:

– Proszę.

Czar-Baba otworzyła drzwi i weszła ciężko dysząc do małego, schludnego pokoju, a ponieważ był bardzo niski od razu usiadła na podłodze.

– Dzień dobry – wysapała.

– Dzień dobry – odparła mała, stara kobietka siedząca przy stoliku. – Och, pani z trudem oddycha, pani chyba jest chora!

– Nie, chcę powiedzieć...

– Ależ pani zbladła, zaraz przyniosę wody – przerwała staruszka zrywając się z krzesła. – To na pewno serce.

– Nie, nie, to nie serce, to schody! Połamałam schody! Wstyd mi.

Staruszka wybuchnęła śmiechem:

– Och, tylko to? Proszę się nie martwić.

– Ależ nie można teraz zejść na dół! Będziemy tu tkwić, póki ktoś nie zauważy szkody i nie naprawi schodów. Może będziemy tu uwięzione przez dłuższy czas, to okropne!

– A więc mamy przygodę – uśmiechnęła się kobietka. – Trzeba będzie jednak pomyśleć... Słyszałam, że Gnom pozwolił pani przebywać u nas tylko pięć dni. Dlatego nie chce pani tracić czasu, rozumiem. Dobrze więc, zejdzie pani inną drogą. A teraz, może zwiedzimy wieżę?

– O, bardzo chętnie.

Staruszka poprowadziła Czar-Babę wewnętrznymi, wygodnymi schodami jeszcze wyżej. Tak przeszły kilka pięter. Na każdym piętrze całe pomieszczenie zajmowała biblioteka. A na samej górze Czar-Baba stanęła jak wryta: nie, dzieci tam nie było; w okrągłej salce znajdowała się lunetka skierowana ku górze oraz wiele innych instrumentów.

– To jest obserwatorium astronomiczne – objaśniła staruszka. – Czy wie pani, co to takiego?

– Oczywiście, dlaczegoż miałabym nie wiedzieć?

– Bo wiadomo mi, że mieszka pani stale w lesie...

– Siedząc w lesie można być nie głupszym, niż siedząc pod ziemią – zaśmiała się Czar-Baba.

– Przepraszam, tak, ma pani rację. Zejdźmy do biblioteki, proszę iść przodem.

Schodząc po schodach Czar-Baba zastanawiała się, kim jest ta osobliwa kobieta i czy można prosić ją o pomoc. Gdy usiadły w bibliotece na ławie, Czar-Baba spytała:

– Kim pani właściwie jest?

– Jestem Tomira, astronomka.

– Ooo!

– Wydaje się to dziwne, prawda! Tak się złożyło, że musiałam wybrać to zajęcie. Czy mogę zapytać, w jakim celu przybyła pani do naszego kraju?

Czar-Baba odpowiedziała z namysłem:

– Troje małych dzieci zabłądziło w borze. Wybrałam się na poszukiwanie ich i zaszłam do was w nadziei, że może tu je znajdę. Czy nic pani o nich nie wiadomo?

– A cóż Gnom na to?

– Twierdzi, że ich tu nie ma.

– No, tak. Niestety, nie mogę w niczym pomóc. Podobno zwiedziła pani już całe miasto?

– Tak, ale nie mogłam wyjść poza jego mury. Co jest poza miastem?

Tomira zawahała się.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– To znaczy, że coś jest, ale... zresztą mniejsza z tym. Dziękuję pani za wszystko i przepraszam za te schody. Muszę już iść. Obiecała pani...

– Tak, tak, wyprowadzę panią, do widzenia.

Tomira wstała i podeszła do półki stojącej pod ścianą. Czar-Baba zauważyła ze zdziwieniem, że obok książek, stał na półce mały flakonik, a w nim bukietek sztucznych fiołków. Chciała o nie spytać astronomkę, ale nie było czasu. Tomira nacisnęła guzik i oto część ściany razem z półką odchyliła się. Ukazał się mały przedsionek, a dalej szerokie schody wiodące w

dół. Czar-Baba spieszyła się. W trakcie rozmowy z Tomirą przeszła jej do głowy pewna myśl. Zrozumiała dokąd rozciąga się państwo Gnoma. Teraz trzeba działać – pomyślała schodząc szybko. Gdy zeszła, zobaczyła, że jest w nieznannej zupełnie części budynku, a przecież zwiedziła dokładnie cały pałac. Przeszła szereg pokoi i płataninę korytarzy, nigdzie nikogo nie spotykając, co też wydało jej się dziwne. Wreszcie jakieś drzwi wyprowadziły ją na znajomy korytarz. Wtedy właśnie zgasły światła dzienne. Pospieszyła do swojego pokoju i położyła się do łóżka. I znów rozważała i rozmyślała: to oczywiste, że państwo to sięga w głąb ziemi, ale jak tam się dostać? Okazuje się, że są tu jednak tajne przejścia, ukryte korytarze. Może nie wiedziałabym o tym, gdybym nie połamala schodów, to dobre. Tak samo na pewno ukryte jest wejście do tych głębokich podziemi, ale od nikogo niczego się nie dowiem. Muszę je znaleźć sama. Może jest w tej tajemniczej części pałacu? Wszystko takie dziwne. Tomira jest mądra i miła, ale wyniosła. Wypuściła mnie jednak z wieży, nie bojąc się, że poznam ukryte przejście. Wydaje mi się, że ona coś wie, ale rzeczywiście, dlaczego miałyby mi pomagać? Wreszcie zasnęła. Tak minął dzień drugi.

Nazajutrz, gdy Czar-Baba chciała wyjść ze swego pokoju, wzrok jej padł na drzwi zamykające ścienną szafę. Dotąd nie zwracała na nie uwagi, ale teraz zastanowiła się i otworzyła je. Szafa była duża, ale pusta. Czar-Baba obmacała ścianki boczne szafy, a chcąc dosięgnąć górnej, weszła do środka. Wtedy stało się coś niezwykłego: deski podłogi się rozsunęły i Czar-Baba runęła w dół, w czarną czeluść. Padając uderzyła głową o jakiś występ i straciła przytomność.

Rozdział szósty

Lochy

Gdy Czar-Baba się ocknęła, nie od razu mogła zrozumieć, co się stało i gdzie się znajduje. Ze zdziwieniem spostrzegła, że leży na hamaku. Potem zobaczyła, że znajduje się w małym mrocznym pokoju. W rogu stał stół z palącą się świecą. Przy stole siedział staruszek i pisał w wielkiej księdze. Włosy miał zupełnie białe i taką samą białą, ogromną brodę, która opadała aż na podłogę, a jej koniec był przywiązany do nogi stołu. Wszystko to wydało się tak niesamowite, że aż krzyknęła. Starzec odwrócił głowę. Twarz miał pobrużdżoną, usta zapadłe, bezzębne, oczy wyblakłe. Powiedział cichym głosem:

– Wreszcie obudziłaś się. to szczęście, że spadłaś na mój hamak, bo mogłabyś się zabić. Kim jesteś?

– Nazywają mnie Czar-Babą. A ty, biedny staruszk, co tu robisz? Widzę, że jesteś więziony!

– Tak, jestem Gwidon, skazaniec. Na noc mnie odwiązują i śpię w hamaku. W dzień – jak widzisz. Więc siedzę i piszę pamiętnik.

– Nie próbowałeś uciec?

– Gdy byłem młodszy, zamykano ten pokój na klucz. Teraz jestem bardzo słaby, gdzież pójde? Ciągłe zmieniają tajne wejścia do tych podziemi, wszędzie są strażnicy...

– A za co cię tak męczą?

– Chcesz wiedzieć? Sam już dobrze nie wiem, to było tak dawno! W młodości byłem budowniczym – ciągnął urywanym głosem. – To ja zbudowałem ten pałac na górze. Ale potem nagle król – bo wtedy panował król Feliks – odsunął mnie od wszelkich prac. Chyba próbowałem dociec przyczyny. Tak mi się już wszystko miesza w pamięci. To było przecież z pięćdziesiąt lat temu. Któryś doradca króla powiedział mi o jakiejś tajemniczej budowie... co to było, nie pamiętam, ale chyba coś ważnego, bo gdy ktoś doniósł królowi o naszej rozmowie, wtrącono mnie do lochu i zagrożono śmiercią, gdybym opowiedział komuś o tym, co usłyszałem

– Och, Gwidonie, nie mógłbyś przypomnieć sobie, co to była za tajemnica? Nie chcę cię narażać i przysięgam, że nie zdradzę ciebie przed nikim.

– Teraz już mi wszystko jedno. Ale naprawdę nie pamiętam. Czy to ważne?

– Kto wie? Kto wie?

– Po co ci znać kobieto z Nadziemia tutejsze tajemnice?

Wtedy Czar-Baba opowiedziała skazańcowi o wszystkim i dodała:

– Dzieci ukryte są gdzieś poza miastem, to pewne. Powiedz mi, co jest poza miastem?

– Te właśnie lochy, w których jesteśmy.

– A co jeszcze? A gdzie ta budowla, o której mówiłeś?

– Nie mogę ci pomóc, nie wiem.

Czar-Baba zamyśliła się. Nagle uderzyła się dłonią w czoło.

–Przecież piszesz pamiętnik od chwili skazania. Na pewno zapisałeś i tamto zdarzenie sprzed lat.

– Masz rację! – wykrzyknął Gwidon. – Piszę codziennie jedną stronę, więc przez 50 lat napisałem (tu obliczyłem na papierze) 18 250 stron. Teraz trzeba obliczyć...

– Przecież to musi być na samym początku, znajdź prędzej.

– Tak, tak. ach, już ze starości miewam zaćmienia umysłu – mruczał i wertował księgę. – Mam, słuchaj: *Zaprzyjaźniony ze mną doradca królewski powiedział mi w wielkiej tajemnicy,*

że odkryto w dużej odległości od miasta podziemne jezioro. Pośrodku jeziora jest wyspa, do której dociera podobno światło słoneczne. Nikt poza królem i jego zaufanymi o tym nie wie. Powiedział mi jeszcze, że widocznie nie cieszę się zbytnim zaufaniem króla, skoro nie dopuścił mnie do budowy domu na tej wyspie. Nie rozumiem, dlaczego zrobiono z tego taki sekret i czemu straciłem zaufanie króla. – To wszystko, co zapisałem. Potem jest już tylko o moim skazaniu.

– Gdzie jest to jezioro? Jak tam dotrzeć? – pytała gorączkowo Czar-Baba.

– Nie wiem, tego mi nie powiedział. Wydaje mi się, że nadal ta sprawa trzymana jest w ścisłej tajemnicy. Wiedzą o tym tylko zaufani obecnego prezydenta, a ci na pewno nie powiedzą.

– Oczywiście. Ach, przecież to doskonałe miejsce, doskonała kryjówka. Gwidonie, zajrzyj do pamiętnika, może w innym miejscu coś zapisałeś na ten temat.

Skazaniec znów zaczął przewracać poźółkłe kartki. Czar-Baba czekała w napięciu. Płynęły minuty. Wreszcie skazaniec zamknął księgę.

– Nic nie ma w pamiętniku, ale przyszło mi na myśl, że może galernik będzie coś wiedział.

– Jaki znów galernik?

– Ach, wiem tylko tyle, że jest przewoźnikiem na Czarnej Rzece. Idź tunelem w prawo, a spotkasz go.

– Dziękuję ci z całego serca Gwidonie. Powiedz czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Nic nie możesz zrobić. Zresztą, teraz już nic mi nie potrzeba. Chciałbym, aby ci się powiodło. Żegnaj, bądź zdrowa.

– Żegnaj Gwidonie!

Czar-Baba ruszyła wąskim i niskim tunelem w zupełnych ciemnościach, bo nie było tu oświetlenia. Szła dość długo trzymając się wilgotnych, pokrytych pleśnią ścian, potykając się o rozrzucone kamienie i kurcząc się, by nie uderzyć głową w strop. Na koniec pojawiło się w dali czerwone światło, potem nagle tunel rozszerzył się i oczom jej ukazała się ogromna ponura pieczara. W ścianach tkwiło kilka pochodni ledwie rozpraszających mrok. Przez środek płynęła rzeka gubiąc się w czeluści podziemnego wąwozu. Jej woda wydawała się rzeczywiście czarna odbijając tylko krwawe światło pochodni. W zamulonej wodzie tkwiły nieruchomo trzy ogromne żółwie o sennych oczach. Dalej, na wpół wyciągnięta na błotnisty brzeg, stała łódź z przewoźnikiem. Był to mały, mizerny człowieczek; siedział skulony, nie poruszając się. Najwidoczniej spał. Dalsze zaczątki pieczary i pułap tonęły w mroku.

Czar-Baba stanęła jak wryta. Wydało się jej, że nagle znalazła się gdzieś na końcu świata lub w przedsionku piekła, tak tu było niesamowicie, ponuro, strasznie. Ale szybko otrząsnęła się z tego wrażenia, bo nie mogła tracić czasu. Trzeba było działać. Zbliżyła się do łodzi i cicho zawołała:

– Hej!

Człowieczek się podniósł, brzękły łańcuchy. Istotnie był przykuty. Wyglądał strasznie: zaróżniony, brudny, w łachmanach. Z przerażeniem patrzył na Czar-Babę.

– Kim jesteś, wielka kobieto? – wyjąkał.

– Czar-Babą z Nadziemia, a ty jesteś Galernikiem?

– Tak, jestem Szymon, galernik. A ty z Nadziemia! Jak się tu dostałeś? Od lat nie widziałem ludzi z miasta, a co dopiero z Nadziemia!

– Współczuję ci bardzo. Czemu jesteś przykuty?

– Dawno, dawno temu dostałem taki wyrok, nawet nie pamiętam na ile lat. Potem zapomniano o tym wyroku. Teraz już nikt nie wie, dlaczego siedzę w tej łodzi, czy można mnie uwolnić, czy nie... Jest jak jest i tak będzie do mojej śmierci.

– Ależ za co tak cierpisz?

– Ach, byłem kiedyś możny, bogaty, byłem doradcą królewskim, dostojnikiem pierwszym po królu – rozmarzył się galernik – ach, po cóż, po cóż zdradziłem...

– Tajemnicę państwową – dokończyła Czar-Baba, która w lot się domyśliła, że to on właśnie opowiedział Gwidonowi o jeziorze.

– Tak, skąd wiesz?

– Mniejsza z tym. Powiedz, kogo tu przewozisz?

– Więźniów, strażników, tu są Więzienne Lochy. Ale mów cicho, mnie nie wolno rozmawiać.

– Słuchaj Szymonie, to bardzo, bardzo ważne – szeptała gorączkowo Czar-Baba. – Przypuszczam, mam pewność, że na wyspie, o której dobrze wiesz, są uwięzione dzieci z Nadzie-mia, które prezydent kazał porwać. Pomóż mi galerniku, ty jeden wiesz...

– Zamilcz! – przerwał wzburzony galernik. – Po coś tu przyszła, po co mnie męczysz, cierpię całe życie przez to przekłete jezioro, nie chcę o niczym wiedzieć, pragnę zapomnienia – jęczał – mnie zabijają, ciebie zamkną w lochu, odejdz, odejdz!!! ... ćśś...

Usłyszeli dalekie pobrzękiwanie, potem człapiące kroki, jakieś mruczenie i z ciemności wyłonił się potężny, jak na tych niewielkich ludzi, mężczyzna z pękiem kluczy w ręce. Galernik zdążył szepnąć:

– To Madej, Stróż Więziennych Lochów. Strzeż się go.

Madej podszedł do łodzi. Wygląd jego mógł rzeczywiście przestraszać: miał dużą głowę, czarną splątana brodę, zakrecone do góry wąsy a spod nastroszonych brwi patrzyły ponuro i wrogo czarne oczy.

– Co to za baba tu się kręci? – krzyknął ostro. – Skąd raptem tu się wzięłaś? Przecież nie ma wejścia do Lochów. Odpowiadaj!

– Jestem tu przez przypadek, po prostu wpadłam. Sama jestem zdziwiona i przestraszona. Pomóż mi dobry człowieku wydostać się stąd.

– Stąd nie ma wyjścia. Co ci powiedział ten głupi galernik?

– Nic. Właśnie chciałam go wyłajać za to, że nie odpowiadał wcale na moje pytania, a ja pytałam tylko, gdzie jest wyjście. Skąd mogłam wiedzieć, że wyjścia nie ma.

– No to jego szczęście, że nie odpowiadał.

Czar-Baba zauważyła, że galernik spozjrzał na nią z wdzięcznością. Och, biedaku, jak ci pomóc? – pomyślała, a głośno powiedziała zwracając się do Stróża Więziennych Lochów:

– Jestem w gościnie u pana prezydenta. Mam jego pisemne zezwolenie na zwiedzanie państwa.

– Pokaż!

Czar-Baba wyciągnęła z kieszeni nieco zmięty kawałek papieru. Madej chwycił go i przeczytał. Potem oddał dokument i powiedział:

– To nie dotyczy moich podziemi.

– Dlaczego?

Madej roześmiał się złośliwie:

– Albo nie czytałaś tego papierka, albo udajesz niewiniątko. Czy w ogóle umiesz czytać? Zezwala ci się zwiedzać miasto, miasto! A tu jest teren poza miastem.

– Wszyscy mi mówili, że poza miastem nic nie ma.

– Ech, babo, gadasz brednie! I powiadasz, że wpadłaś tutaj przypadkiem. Jakoś nikt dotąd nie wpadł przypadkiem poza tobą. Uważam, że przybyłaś specjalnie na przeszeptegi. Dostanę nagrodę za złapanie ciebie.

– Przecież nawet nie wiedziałam o istnieniu tych lochów.

– Cha, cha, cha – zaśmiał się Madej. – Słowom szpiega nie można wierzyć!

– A po co bym pytała, jak się stąd wydostać?

– Pewnie, że nie chciałybyś spędzić tu reszty życia, ale kto wie, czy nie spędzisz.

– Cóż to! Grozisz mi? Najlepiej będzie, gdy spytasz pana prezydenta i wyjaśnisz sprawę – krzyknęła bardzo rozgniewana Czar-Baba.

– Nie ucz mnie, co mam robić! – wrzasnął Madej. Ale po chwili, nie do wiary, uśmiechnął się i powiedział uprzejmie: – Pani wybaczy, że się uniosłem. Przyzwyczałem się, że od dwudziestu lat jestem tu wyłącznym panem. Dobrze, pokażę pani Więzienne Lochy. Proszę iść za mną. – I skierował się w głąb ciemnych korytarzy.

Galernik, który dotąd milczał, szepnął:

– To podstęp, strzeż się.

Czar-Baba uśmiechnęła się do niego i poszła za stróżem. Przemierzyli kilka mrocznych, słabo oświetlonych pochodniami korytarzy. Po niedługim czasie weszli na obszerny, okrągły plac jasno oświetlony licznymi latarniami. Dookoła placu biegły kraty sięgające sklepienia. Pośrodku stał stół, przy którym siedzieli strażnicy. Głośno rozmawiali, jedni jedli, drudzy grali w karty.

– Bacność! – zawołał Madej.

Strażnicy poderwali się z miejsc.

– Przyszła inspekcja, widzicie jaka wielka? – Madej był zadowolony ze swego żartu.

– Otóż proszę pani, to jest Główny Loch. Więźniowie są za kratami dookoła placu. Po co cele? Strażnicy widzą wszystkich siedząc pośrodku. To mój pomysł. Tak, tak, ale najgorsi przestępcy siedzą osobno. Idziemy.

Ruszyli innym korytarzem. Przy jego końcu Madej objaśnił:

– Tam, na lewo jest drugi i trzeci plac, mniejsze od pierwszego, a tu są tylko dwie cele. W tej oto siedzi za kratą Roch, herszt buntowników.

Czar-Baba zauważyła, że Roch był młodym chłopcem o smutnych oczach.

– A teraz niech pani sama zobaczy, co jest w tej celi naprzeciwko – rzekł Madej i podniósł kratę.

Ledwo Czar-Baba weszła, Madej zatrzasnął kratę i zamknął na klucz.

– Gdziez twój osławiony spryt! – Madej śmiał się do rozpuku.

– Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni – odpaliła Czar-Baba. – Jeszcze mnie popamiętasz!

– A cóż ty mi możesz zrobić?

– Musisz przecież powiadomić pana prezydenta, aby dostać swoją nagrodę. Gdy się dowie, coś zrobił, każe cię wychłostać, a mnie wypuścić.

– W porządku, nie denerwuj się. Oczywiście sprawę załatwię, jak trzeba. Gdy się wyjaśni, pójdziesz do domu.

– Jak długo ma trwać to wyjaśnianie?

– Od 24 godzin do 24 lat! Cha, cha, cha!

– Idź precz! Nie na darmo nosisz to zbójeckie imię.

– O, proszę się do mnie zwracać grzecznie.

W tym momencie przygasły światła.

– Dobranoc, Czar-Babo – zawołał Madej. – Życzę ci miłych snów! – Po czym oddalił się brzęcząc kluczami.

Minął dzień trzeci, pozostały tylko dwa. Ale w tym trzecim dniu tyle się zdarzyło! Zdobyła tyle wiadomości! Teraz ważne jest, jak postąpi prezydent. – Hm, wcale nie chcę, aby mnie wypuścił – rozmyślała – bo wtedy musiałabym wrócić do miasta, a ja chcę zostać w tych podziemiach.

– Proszę pani, proszę pani! – usłyszała nawoływanie. To Roch dawał jej znaki ze swej celi i mówił: – Przepraszam, że panią niepokoję, ale już ostatni strażnicy poszli sobie i można spokojnie porozmawiać.

– Bardzo chętnie – odparła Czar-Baba.

– Pani na pewno stąd wyjdzie, może już jutro. Chciałem prosić o pomoc...

- Ależ Rochu, ja sama jestem w niepewnej sytuacji, a tyś podobno buntownik...
- Jaki tam ze mnie buntownik! Właśnie chcę wszystko pani opowiedzieć. Siedzę tu z powodu króla. Ostatni król, jaki tu panował żyje i jest gdzieś ukryty.
- Co ty powiesz? Ciekawe, ale skąd o tym wiesz?
- Widzi pani, starzy ludzie jeszcze go pamiętają. Król przebywa w odosobnieniu, nie wiadomo gdzie. Dowiedziałem się o tym przypadkowo, jeszcze na wolności i bardzo się tym zaniepokoiłem, przecież to nadzwyczajne! Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej i kiedyś zapytałem znajomego staruszka, czy pamięta króla i dlaczego został usunięty. Było to na ulicy. Ktoś usłyszał i zaraz ogłoszono, że jestem buntownikiem. To nieprawda, nikogo nie buntowałem. Oto moja historia. A teraz chciałem prosić... aby pani, będąc w pałacu powiedziała o mnie pani prezydentowej. Ona mnie dobrze zna i jest dla mnie łaskawa.
- Mnie nie wypada mieszać się do waszych spraw. A pani prezydentowej w ogóle nie znam.
- Szkoda, to mądra i uczona kobieta, nie uwierzyłaby w moją winę i mogłaby powiedzieć słówko w mojej obronie.
- Dziwne, nie spotkałam jej w pałacu.
- To możliwe, bo przeważnie przebywa w wieży i zajmuje się...
- Co?! W wieży?
- Tak, w wieży pałacowej, jest...
- Czar-Baba osłupiała ze zdumienia.
- Więc Tomira, to żona prezydenta?
- Tak, oczywiście.
- Same niespodzianki! – wykrzyknęła Czar-Baba. – Tak! znam, znam ją! Ale najpewniej nie zobaczę już ani jej, ani pałacu.
- Dlaczego?
- Nie mogę ci na to odpowiedzieć. Zresztą porozmawiamy jeszcze jutro.
- Jutro pani odejdzie i zostaną bez nadziei.
- Dobrze, Rochu, zrobię o co prosisz, jeżeli tylko będzie to możliwe.
- Dziękuję pani, dobranoc.
- Czar-Baba wreszcie zasnęła. Ledwie światła dzienne zabłyśły, zjawił się, z nieodłącznym brzęczeniem kluczy, Madej. Był ponury. Nie natrząsał się z Czar-Baby i oświadczył krótko:
- Pan prezydent powiedział tak: „Oczekuję Czar-Baby we wtorek o godzinie siódmej wieczorem u mnie w pałacu”.
- Nic więcej nie powiedział?
- Nic, a nic. Wcale nie kazał cię wypuszczać.
- A nagrodę dostałeś?
- Nie – odwrócił się na pięcie i odszedł.
- Czar-Baba była bardzo zadowolona. – Tak – mruzczała do siebie – Gnom nie mógł mnie kazać więzić, bo byłoby to wbrew umowie. Dał wykrętną odpowiedź, ale tak, aby Madej zatrzymał mnie tutaj do jutra wieczór. A więc boi się mnie. To dobrze.
- Przez cały dzień była spokojna. Gdy światła dzienne zgasły – minął dzień czwarty. Kiedy strażnicy odeszli, cicho zawołała:
- Rochu, Rochu, nie śpisz?
- Nie, skąd, cieszę się, że pani jutro stąd wyjdzie i...
- O, wyjdę na pewno. Powiedz mi, czy idąc korytarzami można ominąć Główny Plac? Chciałabym dotrzeć do Czarnej Rzeki.
- Po co? przecież jutro będzie pani w pałacu, więc może jednak...
- Oj, Rochu nie zadawaj zbędnych pytań.
- Ale ja nic nie rozumiem, wszystko jest takie dziwne.

– Nie musisz rozumieć. Czy możesz odpowiedzieć na moje pytanie?

– Dobrze, powiem to, co wiem. Można ominąć plac, ale trzeba przejść przez Kociarnię i Wykroty. Tamtej drogi się nie pilnuje bo wiadomo, że nikt z więźniów nie odważy się przejść przez pomieszczenie z kotami. Zresztą nikt też nie wie dobrze, dokąd ona prowadzi. Ale tylko w ten sposób można ominąć strażników. Trzeba iść tym korytarzem w prawo do samego końca i skrócić znowu w prawo. Tych korytarzy nigdy nie oświetlają, co gorsza, ten drugi potem się rozgałęzia i nie wiem, którą drogą trzeba dalej iść, aby dojść do Kociarni. Należy uważać, bo inne drogi mogą zaprowadzić znów na któryś plac. Gdy się znajdzie Kociarnię i przebrnie szczęśliwie przez sforę tych potworów, wejdzie się do na wpół wykończonego tunelu, który jest zasypany gruzami. Ta część Lochów to właśnie Wykroty. Dalej jest urwisko i jakoby jakaś woda. Może to i rzeka. Wiem o tym wszystkim z opowiadań strażników, ale oni sami dalej się już nie zapuszczali. Boją się tego miejsca, nazywają je „Diabelską Ziemią”, bo, jak mówią, tam straszy. To wszystko, co wiem. Och, niech pani nie idzie tamtędy, to straszna droga!

– Muszę, Rochu, muszę.

Czar-Baba powtórzyła całą trasę, a Roch potwierdził, że dobrze zapamiętała. Potem usiadła i zamyśliła się głęboko. Po pewnym czasie powiedziała:

– Powiedz mi, Rochu, w jaki sposób dostałeś się do tej celi?

– Jak to?

– Madej twierdzi, że nie ma tu ani wejścia, ani wyjścia. Którędy cię sprowadzono do Lochów?

– Nie wiem.

– Jak to?

– Uwięziono mnie wieczorem, zaprowadzono do pałacu. Tam, w gabinecie prezydenta on sam i inni pytali mnie o zdarzenie na ulicy. Potem wprowadzono mnie do jakiegoś pokoju i kazano iść spać. Położyłem się na pryczy i zasnąłem. Rano obudziłem się w tej oto celi. Nie czułem, aby wieziono mnie czy znoszono po schodach. To dziwne, prawda?

– Tak. Myślałam, że pomogę ci uciec, ale rzeczywiście zwykłego wyjścia nie ma. Myślę, że spuszczone cię na tej samej pryczy przez otwór, wprost do celi. Powiedz mi jeszcze, skąd tak dobrze znasz panią Tomirę?

– To było tak – Roch z ochotą zaczął opowiadać: – Chciałem być budowniczym, jak mój ojciec i dziadek. Dziadek, wie pani, był sławny, zbudował ten pałac dla króla, w którym mieszka teraz ten okrutny Gnom. Mówię okrutny, bo to on zapełnił Lochy więźniami, choć o tym się nie mówi. Niespodziewanie dostałem pewnego dnia wezwanie do pani prezydentowej. Była bardzo łaskawa, spytała mnie, czy nie chciałbym się uczyć u niej astronomii. Zgodziłem się z radością, przecież to bardzo ciekawe. Nie rozumiałem wprawdzie, dlaczego wybrała właśnie mnie, ale nie dociekałem przyczyny. Nauka nie trwała dłużej niż miesiąc, gdy znalazłem się tutaj.

– Hm, a jak się twój dziadek nazywał?

– Gwidon.

– Czy żyje?

– Umarł, o, już bardzo dawno. Był wdowcem i sam wychowywał mego ojca. Po śmierci dziadka ojcem zaopiekowała się ciotka.

– A gdzie jest twój ojciec?

– Niestety, moi rodzice już nie żyją.

– Współczuję ci, mój chłopcze. No, na mnie już czas. Obiecuję, że zrobię coś w twojej sprawie. Nie opowiadaj nikomu o naszych rozmowach. Teraz śpij mocno. O niczym nie wiesz, niczego nie widziałeś, ani nie słyszałeś. Rozumiesz?

– Rozumiem. I... dziękuję pani.

Czar-Baba rozejrzała się, chwilę nasłuchiwała. Panowała głucha cisza. Wtedy chwyciła w obie ręce kratę, napięła mięśnie, szarpnęła i oto zawiasy ustąpiły. Wyszła z celi i postawiła kratę na miejsce, tak, aby się wydawało, że nie była ruszana. Potem ruszyła w głąb korytarza. Wyjęła pochodnię z uchwytu w ścianie i zagłębiła się w mrok ciemnego tunelu. Gdy doszła do rozwidlenia, zatrzymała się. Którą drogę wybrać? Bała się zabłądzić w tym labiryncie i trafić znów na plac, przed czym przestrzegał Roch. Nagle usłyszała dalekie jakby stękanie, czy mruczenie. Z początku ogarnął ją lęk, ale wnet roześmiała się: przecież to koty! Dzięki temu znalazła właściwy kierunek i tam skierowała swe kroki. Po dłuższej chwili zobaczyła w blasku swej pochodni, że korytarz jest zamknięty siatką. To była właśnie Kociarnia. – Teraz trzeba wejść tak, aby koty nie pouciekały, bo mogłyby sprowadzić na mnie nieszczęście – pomyślała. Udało jej się i to, bo siatka była zamknięta na skobel. Odsunęła go, weszła i zamknęła za sobą. Znalazła się teraz wśród na wpół zdziczałych zwierząt, które podrażnione widokiem ognia rzuciły się na nią na oślep. Czepiały się pazurami to ramion, to głowy, drały i przeraźliwie miauczały. Czar-Baba walcząc z nimi posuwała się cierpliwie naprzód. – Nic dziwnego, że więźniowie piekielnie ich się boją – pomyślała.

Wreszcie namacała zbawczą tylną siatkę. Była przybita, ale stara i zardzewiała. Czar-Baba rozerwała ją jednym pchnięciem, nie dbając już o nic. Ale przed wyjściem wzięła jednego, jak się wydawało spokojniejszego kota i wpakowała go do przepaścistej kieszeni swego fartucha. Widać mu się to podobało, bo nie uciekał. Dalej brnęła przez Wykroty. Było tu tak, jak opisywał Roch: doły, dołki, rozpadliny, kupy kamieni, odłamki skał, jakieś gruzy. Potykała się, padała ciągle szła uparcie naprzód. Aż wreszcie grunt się nieco wyrównał i tunel wyprowadził ją na brzeg urwiska.

Podniosła wysoko pochodnię i zobaczyła, że znajduje się w dużej grocie i że stoi na brzegu przepaści, której dna nie było widać. Wzięła kamień i rzuciła w dół. Usłyszała plusk. Ale to nie rzeka, chyba jakaś sadzawka. Co dalej? Stała tak rozmyślając dobrą chwilę. Dookoła pustka i głusza, tylko od czasu do czasu plusk kropli kapiącej ze sklepienia do sadzawki. Nagle, nie wiadomo skąd, nie wiadomo gdzie, rozległ się w tej mrocznej ciszy przeciągły jęk. Strach chwycił ją za gardło, zadrżała. I oto stała się rzecz straszna: pochodnia wypadła jej z ręki, stoczyła się po stoku do przepaści, plusnęła woda i jedyne światło zgasło. Czar-Baba zdrętwiała z przerażenia. „Piekielna Ziemia” – przemknęło jej przez głowę i przez moment zatęskniła do swej celi, do Rocha, nawet do Madeja. Po pewnym czasie, gdy tak stała nieruchomo w ciemności, usłyszała zgrzyt, a potem, jakby zbliżające się jakieś szmery i szuranie. – Szczury – pomyślała – albo rzeczywiście duchy. Lecz odgłosy nie powtórzyły się.

Gdy oczy przywykły do ciemności wydało się jej, że rozróżnia zarysy groty i kształt pobliskich skał. Cóż to znaczy? Czyżby dochodziło tu jakieś światło? Przecież w całkowitej ciemności absolutnie nic nie widać. Odwróciła się. Skała w ścianie groty, niedaleko miejsca, na którym stała, jakby promieniowała mglistą poświatą. Z trudem oderwała zdrętwiałe nogi od ziemi i ruszyła w tamtą stronę. Doszła do ściany i macając posuwała się ostrożnie dalej. Po-blask stawał się coraz wyraźniejszy. Z nadzieją, ale i z lękiem zbliżyła się jeszcze bardziej. Teraz zauważyła, że światło przenikało zza skały, która była jakby wysunięta. Obeszła ją i znalazła się w wąskim przejściu. Przepchnęła się przez nie i o mało nie krzyknęła z radości: nie, to nie były uwięzione dzieci. Poznała pieczarę, która przed dwoma dniami budziła w niej grozę, a teraz radość, do której tak uparcie dążyła tej okropnej nocy: pochodnie tkwiące w ścianie, Czarna Rzeka, śpiący galernik, nieruchome żółwie. Teraz zrozumiała, że to jęczał galernik i szurały jego łańcuchy, odgłosy, których tak się wystraszyła! Była tak blisko i nie wiedziała o tym! Nagle zauważyła coś niezwykłego: oto żółwie wyciągnęły szyje w jej stronę i popatrzyły na nią dziwnym, jakby ludzkim wzrokiem. Potem schowały głowy do swych skorup i znieruchomiały. – To musi coś oznaczać – pomyślała.

Podeszła do łodzi i dotknęła ramienia galernika. Obudził się przerażony.

– To ja, Szymonie – galerniku, nie bój się. Miałeś rację, ten Madej to zbój, zamknął mnie w celi, ale uciekłam – mówiła szybko.

– Uciekłaś? To niemożliwe.

– A jednak, widzisz mnie przecież. Nie musisz mi już zdradzać żadnych tajemnic, sama się domyśliłam. Powiedz, jak mogę ci pomóc?

– Już mi pomogłaś, wtedy, gdy mnie nie wydałaś. A poza tym... okazałaś mi tyle serca... to wystarczy... nic nie można więcej zrobić – mówił urywanym głosem. – Musisz teraz ratować dzieci. Czy wiesz, co masz robić?

– Wiem!

Czar-Baba uścisnęła rękę galernika i siadła na grzbiecie największego żółwia, a one popłynęły z biegiem rzeki zagłębiając się w czarną czeluść podziemnego wąwozu.

Czar-Baba jeszcze w celi domyśliła się, gdzie ma szukać podziemnego jeziora, ale sądziła, że będzie musiała iść brzegiem rzeki. Rozważała też, czy nie namówić galernika, aby razem uciekli jego łodzią, ale zaniechała tego. Teraz już wiedziała, że żółwie czekały na nią.

Rozdział siódmy

Wyspa

Droga była daleka, ale żółwie płynęły niespodziewanie szybko. Czasem wąwóz bardzo się zwężał, wtedy prąd rzeki stawał się bystry. Czasem sklepienie opadało tak nisko, że Czar-Baba musiała się schylać, aby nie uderzyć w nie głową. Po pewnym czasie żółwie zbliżyły się do brzegu i przystanęły. – Co to ma znaczyć – pomyślała – ach, chyba mój „rumak” się zmęczył. Przesiadła się na drugiego żółwia, a one popłynęły dalej. Przesiadła potem na trzeciego, potem znów na pierwszego. Aż nareszcie pojawiło się nikłe światło, tunel powoli zaczął się rozjaśniać. – Pewnie jest już dzień i palą się tam dzienne światła – pomyślała. Ale to „tam” było wielkim niewiadomym. Czy rzeczywiście będzie to owo oczekiwane jezioro z wyspą? I czy będą tam dzieci? Przecież zaczyna się ostatni dzień jej poszukiwań.

Robiło się coraz jaśniej. Woda nie była już czarna, stawała się srebrzysta, potem różowa. Jeszcze chwila, jeszcze jeden zakręt... i oto niecierpliwym oczom Czar-Baby ukazał się niespodziewany, niesamowity widok: przed nią rozciągało się wielkie jezioro, od którego bił niezwykle blask, lecz krańce jeziora zasnuwał mrok, gdyż były w cieniu wysokich, skalistych brzegów, które wznosiły się niczym kopuła; ale ziemia na szczycie tej kopuły była otwarta. Przez tę szczelinę wlewało się słońce i oświetlało wyspę, która leżała na środku jeziora, otoczona jak pierścieniem – złotym piaskiem plaży. Na wyspie zaś stał niezwyklej piękności zamek, cały z kryształu górskiego. Lśnił i mienił się tysiącem barw w promieniach słońca. Smukłe, strzeliste wieże i wieżyczki były zupełnie przezroczyste, niczym sopte lodu i jak gdyby mknęły ku temu jedynemu skrawkowi błękitnego nieba. Dookoła zamku tryskały fontanny, a kropelki śmigającej do góry wody dodawały jeszcze większego blasku całej budowli.

– Więc taka oto jest tajemnica władców Podziemia – wyszeptała Czar-Baba.

Tymczasem żółwie, płynęły dalej, ku wyspie. Na piasku nabrzeża Czar-Baba zsiadła i powiedziała:

– Dziękuję wam, żółwie. Cóż bym bez was zrobiła?

Lecz żółwie nic nie odpowiedziały i odplynęły nie wiadomo dokąd.

Wokół zamku było pusto i cicho, tylko fontanny szemrały nieustannie. Czar-Baba obiegła zamek dookoła. Drzwi były pozamykane, więc zaglądała przez okna. Komnaty błyszcząły od złota i kryształów, ale były puste. – Trzeba wejść na piętro i tam sprawdzić – pomyślała – drzwi mogę wywarzyć. I tak też zrobiła. Nacisnęła mocno klamkę jakichś bocznych drzwi, które niespodziewanie łatwo ustąpiły. Znalazła się w przedsionku, na wprost schodów, które prowadziły w dół i do góry. – W piwnicy pewnie ich nie trzymają – pomyślała i skierowała się do góry. Sale na piętrze były jeszcze wspanialsze: między nimi zamiast drzwi wznosiły się kryształowe kolumnienki, meble były wykonane z mahoni, u sufitów wisiały wielkie kryształowe żyrandole – „pajaki”, a na ścianach ogromne lustra w złotych ramach. W pewnej chwili Czar-Baba zauważyła siebie w lustrze. Jakże okropnie wyglądała w tym świetnym otoczeniu: pobrudzona ziemią, podarte, mokre ubranie, twarz spocona. Ale machnęła tylko ręką i dalej przebiegała komnaty szukając dzieci. Wszędzie pustka i cisza i taki porządek, jakby nikt nigdy tu nie mieszkał. Aż wreszcie natrafiła na ślad bytności człowieka: w niewielkim pokoju stała na stoliku szklanka z wodą, a na kanapie leżała porzucona biała suknia.

– Jest tu kto? – krzyknęła.

– Jest – odpowiedział głos.

I oto w drzwiach sąsiedniego pokoju ukazała się postać kobiety. Czar-Baba krzyknęła ze zdziwienia i – i co tu ukrywać z przestachu. Była to bowiem pani prezydentowa.

– A więc jednak dotarłaś tu Czar-Babo – rzekła. – Przybyłam tu przez ciekawość, żeby zobaczyć, jak się to wszystko skończy.

Czar-Baba myślała gorączkowo, jak się ma teraz zachować. Postanowiła na razie o nic nie pytać.

– Właściwie cieszę się, że panią widzę – powiedziała spokojnie, gdyż mogę przez to spełnić dobry uczynek wobec pewnego niewinnego człowieka.

– O kim mówisz?

– O Rochu siedzącym w Więziennych Lochach. Błaga panią o ratunek, przecież pani wie, że jest on niewinny.

– Roch w więzieniu? To nie możliwe! Wprawdzie nie widuję go od dość dawna, ale nikt mi nie powiedział, że jest uwięziony, ani o jakiejś jego winie. To przecież brednie!

– Niech pani posłucha. I Czar-Baba opowiedziała o Rochu, przedstawiła jego sprawę, a potem zapytała: – Dlaczego wzięła pani właśnie Rocha na naukę astronomii?

– Proszę wybaczyć, to już moja sprawa.

– Nie tylko. Może wzięła go pani dlatego, że jest wnukiem Gwidona?

– Skąd wiesz?

– A więc zgadłam. Ale chyba nie wie pani o tym, że sędziwy Gwidon dogorywa w lochu, co?

Stara kobieta zbladła jak płótno, zachwiała się i oto dumna pani prezydentowa pochyliła głowę i usiadła na progu, tam, gdzie stała.

– Nie wiem... – szepnęła.

– Teraz już wszystko rozumiem – oświadczyła Czar-Baba i usiadła na kanapie.

– Teraz i ja zrozumiałam – Tomira wstała. – Och, zapłaci mi on za wszystko, ten Gnom. Posłuchaj, Czar-Babo: 50 lat temu miałam narzeczonego – Gwidona. Był wtedy wdowcem i miał małego synka. Ktoś oskarżył Gwidona przed królem, nie wiem nawet o co, i wtrącono go do lochu. Wkrótce potem powiadomiono mnie o jego śmierci w więzieniu. Byłam bardzo nieszczęśliwa. Gdy Jan Godfryd wygnał króla i został prezydentem, tak długo mnie prosił, abym została jego żoną, że się wreszcie zgodziłam. Byłam przecież przekonana, że Gwidon nie żyje. Ale wtedy dowiedziałam się, że to właśnie on, mój mąż był tym, który oskarżył wówczas Gwidona, i to kłamliwie, bowiem nic złego Gwidon nie zrobił. Byłam do głębi oburzona i nieszczęśliwa. Zająłam się astronomią, co pozwalało mi spędzać czas w samotności. Przez długie lata śledziłam życie syna Gwidona, stąd wiedziałam, że gdy ten dorósł ożenił się i miał syna – Rocha. Gdy rodzice Rocha zmarli, wzięłam chłopca na naukę astronomii, chciałam się nim zaopiekować. Szczerze go polubiłam, ale i tego chłopca mi zabrano. Widocznie Gnom obawiał się, że skoro Roch ma wiadomość o królu, może też wiedzieć i o losie tych, którzy mu służyli, jak Gwidon.

– Lub Szymon – wtrąciła Czar-Baba.

– Szymon, Szymon, tak, był taki. Też jest w lochu?

– A jakże jest nawet galernikiem, ma wspaniale brzęczące łańcuchy i pięknie skudłaconą, siwą brodę – sztychła Czar-Baba.

– Nie potępiaj mnie – powiedziała Tomira cichym, zgnębnym głosem – nic o tym wszystkim nie wiedziałam. Gnom trzymał swe przestępstwa w wielkiej tajemnicy. Ale naprawię to. mam przyjaciół na dworze, kilku ministrów mi sprzyja. Mam władzę tylko nie korzystałam z niej dotąd. Teraz uwolnię więźniów, a Rocha uczynię następcą Gnoma, choć miał on inne plany. Ale Roch nie będzie gorszy niż Sławek.

– Sławek??? – teraz Czar-Baba otworzyła usta ze zdumienia. – Nie rozumiem! Powiedz, pani, o co tu chodzi?!

– Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Otóż... Ale co to? – na twarzy jej odbił się niepokój. Zbliżyła się szybko do okna. – On tu płynie! Tak, Gnom z ministrem bezpieczeństwa i pokojowcem.

Zbliżają się do brzegu! Biegnij, nie ma chwili do stracenia, zaraz tu będą. Zatrzymam ich, a ty z drugiej strony zamku... od tyłu... krużganek... uciekajcie –mówiła bezładnie wypychając Czar-Babę z pokoju.

– Teraz wiem, że ona uwolni z lochów Gwidona i Rocha, a może i Szymona – pomyślała Czar-Baba biegnąc przez komnaty. Zbiegła ze schodów i wyszła na zewnątrz. Krużganek na tyłach zamku otaczał wysoką, okrągłą przybudówkę, do której prowadziły schodki. Bez namysłu wbiegła po nich. Drzwi nie znalazła, ale były okna. Zajrzała przez pierwsze z brzegu i cała rozpromieniła się z wielkiej radości. Bo oto nareszcie zobaczyła to, czego szukała z takim trudem przez tyle dni: troje małych dzieci siedziało przy stoliku, a mała kobietka zaba- wiała je układając kolorowe klocki, zwierzątka i coś jeszcze. Ale Jagódka płakała, a starsze dzieci siedziały nic nie mówiąc. Nie było czasu. Czar-Baba wybiła szybę i wpadła przez okno do pokoju wołając:

– Dziecinki! Przyszłam od waszej mamy i tatusia, chodźcie prędzej, prędzej, pójdziemy do domu!

Bogunia wykrzyknęła:

– Tak, tak, do mamy, nie chcemy tu być!

Opiekunka usiłowała je bronić, ale Czar-Baba oddała kawałek swego fartucha i związała kobietkę, zresztą niezbyt mocno, aby nie zrobić jej krzywdy. Potem chwyciła dziewczynki za ręce i wszyscy czworo wygramolili się przez okno na krużganek

– Gdzie mama? –spytała Jagódka.

A Sławek dopytywał, czy naprawdę idą do domu, czy znowu gdzie indziej.

– Idziemy do domu – mówiła Czar-Baba pospiesznie. – Ale może będą nas gonić, musimy uciekać. Bądźcie rozsądne dzieci i róbcie to, co wam będę mówić. Sławku, chwyć mnie za spódnicę i trzymaj mocno. Idziemy.

Zbiegli ze stopni i okrążyli zamek.

– Teraz uważajcie, mogą was dojrzeć – szepnęła i wychyliła głowę zza węgła. Było pusto, tylko przy brzegu stała wielka łódź z wiosłarzem.

– Sławku, musimy zdobyć tę łódź.

– Zaatakuję ją – powiedział buńczucznie.

– Nie, Sławeczku, jesteś za mały. Zobaczysz, jak ja to zrobię. Ty weź siostrzyczki za ręce i ukryjcie się za fontanną. Gdy wiosłarz wyjdzie z łódki przybiegnijcie pędem i wszyscy wsiądziemy do łodzi. Zrozumiałeś?

– Tak jest, kapitanie! – Sławek od razu wczuł się po dziecięcemu w przygodę.

Czar-Baba wyszła na plażę. Wiosłarz otworzył z wielkiego zdumienia oczy i usta, ale przytomnie chwycił za wiosło i zamachnął się nim. Mógł nawet skutecznie się bronić, bo był dość krzepkim grubasem i stał wysoko na dziobie.

– Hej, grubasku! – Zawołała Czar-Baba. – Zejdź na piasek, potrzebna mi jest łódź!

– Ta baba zwariowała – powiedział grubas jakby do kogoś trzeciego. – I do tego taka ogromna! Ale nie dasz mi rady, bo przecież jestem mężczyzną – i uniósł wiosło.

– A ja myślę, że zejdziesz.

– Nie zejde! Do stu tysięcy beczek prochu!

Czar-Baba weszła do wody i zbliżyła się do burty. Jednocześnie zaczęła wyciągać z kieszeni kota. Biedak był mocno przyduszony, ledwo zipał. Teraz wyciągnął łapy, wysunął pazury, parsknął i przeraźliwie zamiauczał. Grubas w jednej chwili rzucił swoją broń, wytoczył się z łodzi i pognął jak opętany w kierunku zamku. A Czar-Baba majestatycznie wkroczyła do łodzi. Dzieci już pędziły przez plażę. W tym momencie otworzyły się podwoje zamku i pojawił się w nich prezydent ze swą świtą.

– Gońcie ich! – wrzasnął. – Łapcie!

Ale nikt się nie ruszył. Na ławce w łodzi siedział kot i oblizywał się. Dzieci już były przy łódce. Czar-Baba wciągnęła je do środka i odpłynęła.

– Jesteśmy uratowani – powiedziała bardziej do siebie, niż do dzieci.

– Ja bym chciał powiosłować, proszę pani – odezwał się Sławek.

– Ach, mówcie do mnie inaczej, mogę być waszą babcią.

– To nasza babunia – zapiszczały dziewczynki i przytuliły się do jej kolan. – Czy płyniemy już do domu?

– Tak, kochaneczki, tak – odparła Czar-Baba rozważając jednocześnie, jak się stąd wydo-
stać. – Skoro jest otwór nad wyspą, to znajdzie się jakieś przejście. Trzeba obejrzeć brzegi.

Tymczasem Gnom zszedł nad brzeg jeziora i usiadł na kamieniu.

– Czar-Babo! – zawołał. – Zbliź się, chcę z tobą porozmawiać.

– Czemu nie? – pomyślała, i podpłynęła bliżej brzegu.

– Czar-Babo, posłuchaj! – mówił dalej. – Tak, kazałem porwać te dzieci, ale miałem ku temu powód. Zawsze obawiałem się ludzi z Nadziemia. Bałem się, że mogą kiedyś dowie-
dzieć się o naszym państwie i zagrozić nam. Uznałem więc, że trzeba jakiegoś chłopca z Nad-
ziemia wychować u nas i zrobić go, gdy dorośnie, władcą Podziemia. To by zapewniło nam
bezpieczeństwo. Przyznaję, przegrałem. Nigdy, przenigdy nie przypuszczałem, że zdołasz tu
dotrzeć teraz proszę cię o jedno: zostaw mi chłopca. Oddam ci dziewczynki, które właściwie
były tu tylko po to, aby Sławek miał rodzinę, wskażę drogę powrotną, bo sama nie potrafisz
wyjść z tej kotliny. Ale nie odbieraj mi Sławka, którego pokochałem jak syna, a syna nigdy
nie miałem. Czy wiesz, kim on będzie? Uczynię go królem! Gdy dorośnie będzie tu panował,
wszyscy będą na jego rozkazy. A teraz będzie żył jak książę, oddam mu ten zamek, będzie się
cieszył niebem i słońcem razem ze mną. Dostanie wszystko, czego zapagnie... – zapalał się,
chciał coś jeszcze mówić, ale Czar-Baba powiedziała spokojnie:

– Sławek też wróci do matki i ojca.

– Ja będę mu ojcem, a ty matką. Będziesz matką króla! Chcesz?

– Nie!

Wtedy Gnom wykrzyknął:

– Sławku, chcesz być królem?

– Chcę.

Czar-Baba zdrętwiała.

– A więc wróć do mnie, syneczku kochany – wołał Gnom.

– Nie jestem pana synkiem. Mam swojego tatusia i mamę. Gdy dorosnę pokonam wszyst-
kich piratów i rozbójników i zostanę królem.

– Oto odpowiedź, na jaką czekałam! – zawołała Czar-Baba i odpłynęła zostawiając prezy-
denta na kamieniu.

Wtedy Wielki Gnom zapłakał. Ale po chwili wspiął się na kamień i wykrzyknął:

– Nie opuścisz nigdy tego jeziora! Będziesz krążyć całą wieczność! Stąd nie ma wyjścia!!!
Nie ma wyjścia!!! Nie ma wyjścia!!! I echo powtórzyło wielokrotnie: nie ma wyjścia, wyjścia,
wyjścia...

A Gnom się śmiał. I długo jeszcze słyszeli jego śmiech, a może to był szloch?

Jagódka rozplakała się:

– Ja się boję, dlaczego ten pan tak krzyczy? Czy chce nas złapać?

– Już nikt nigdy was nie złapie, dziecinko.

– Ja chcę na ręce, babuniu.

– Widzisz kochanie, że wiosłuję. Pobaw się z kotkiem. Albo przytulcie się dzieci do siebie
i zaśnijcie.

Mijały godziny. Dzieci spały, Czar-Baba wiosłowała niestrudzenie opływając jezioro w
pobliżu brzegów. Szukała wyjścia. Ale wszędzie wznosiła się lita skała otaczająca całe jezio-

ro. Tam, wysoko, wysoko rosły drzewa, krzewy, był las oświetlony słońcem, ale jak to osiągnąć?

Czar-Baba wychodziła na brzeg – wąski skrawek lądu i szukała szczelin, załamania lub występów skalnych gdzie można by było postawić nogę. Szukała korzeni drzew po których można byłoby się wspiąć. Wszystko na próżno. Żadnych załamania, żadnych korzeni. – Czyżby ten szalony Gnom miał rację? Czy naprawdę nie ma stąd wyjścia? – Myślała ze zgrozą. – Ale przecież on przybył tu z zewnątrz. Którędy? A Tomira? Więc znów badała brzegi i ściany.

Tymczasem dzieci obudziły się i poprosiły jeść. – Mój Boże, co będzie dalej? – pomyślała z rozpaczą Czar-Baba. – Ostatecznie można spać w łodzi lub na brzegu, ale czym ja je nakarmię?

Nagle Sławek podskoczył, aż zachwiała się łódź i pociągnął Czar-Babę za rękaw:

– Babuniu, spójrz! Czemu te pagórki się ruszają?

– Jakie pagórki, gdzie?

– O tam, tam, trochę dalej, w wodzie, blisko brzegu, ruszają się – wołały dzieci.

Teraz i Czar-Baba zauważyła dziwne, ruszające się szare pagórki, może kamienie? Podpłynęła bliżej.

– Ależ to żółwie, to nasi przyjaciele! – wykrzyknęła uradowana.

Dzieci klaskały w ręce i wołały:

– Chcemy je zobaczyć!

A Czar-Baba szepnęła: – Żółwie, może przynosicie nam ratunek?

Ale żółwie nic nie odpowiedziały, tylko powoli, niezgrabnie wylazły na brzeg, wciągnęły szyje i zasnęły. Dzieci dotykały ich pancerzy i śmiały się. Ale Czar-Baba już wiedziała, że gdzieś tu, w pobliżu musi się znajdować ukryte wejście. Zaczęła dokładnie oglądać ziemię na wąskiej plaży. – No tak – odetchnęła – podobne miejsce jak w lesie. Co to było za miejsce – ona jedna tylko wiedziała.

Tupnęła nogą i oto ziemia się rozsunęła. Dzieci przybiegły i krzyknęły z zachwytem.

– Babuniu, są schody – zawołała Bogunia. – Pójdziemy tam?

– Pójdziemy dziecińki, oczywiście, ale przedtem pożegnajmy się z żółwiami. Kotka może cię wziąć ze sobą.

Zawrócili, lecz żółwi już nie było. Odpłynęły nie wiadomo dokąd. Czar-Baba wzięła dziewczynki na ręce, Sławek uczeplił się jej spódnicy i tak weszli w głąb ziemi, a ta zamknęła się za nimi.

Schody były krótkie. U dołu namacali drzwi. Zapukali. Odezwał się chrapliwy głos:

– Proszę.

Otworzyli drzwi, weszli. Wewnątrz był półmrok, bo tylko jedna oliwna lampka paliła się zawieszona nad stołem, i to w znacznej odległości od wejścia. Gdy oczy przywykły do mroku, ukazał się im tak niespodziewany widok, że dzieci na równi z Czar-Babą patrzyły w niemym zdumieniu. Pierwszy Sławek wykrzyknął chwytając Czar-Babę za rękę:

– Patrz, patrz babuniu! Król, prawdziwy król, i siedzi na tronie, i jaki piękny!

W istocie był bardzo brzydki i bardzo stary. Ale złota korona na jego głowie lśniła i błyszczała, a brylanty, rubiny i szmaragdy, którymi była wysadzana mieniły się w blasku lampki. Na ramionach miał purpurowy płaszcz obsyty sobolim futrem. Siedział na krześle z wysoką, rzeźbioną poręczą. To był jego tron.

– Tak – wychrypiał – jam jest król Feliks Dwudziesty Piąty, Wygnaniec. A wy?

– Nazywają mnie Czar-Babą, a dzieci, to: Sławek, Bogunia i Jagódka. Boguniu, schowaj kotka do mojej kieszeni.

– Nie trzeba, prawdziwy król kotów się nie boi. Po coście tu przyszli?

– To długa historia. Prezydent Gnom porwał te oto dzieci z Nadziemia i uwięził je w kryształowym zamku. Ja je odnalazłam, a szukając wyjścia z tej kotliny otoczonej skałami

zawędrowałam z nimi aż tu. Bardzo przepraszam Waszą Królewską Mość za zakłócanie spokoju, ale śmiem też prosić o pomoc.

– W kryształowym zamku, powiadasz? Jak on śmiał, to mój zamek. Posłuchajcie! Dawno, dawno temu panowałam tu niepodzielnie, a wszyscy mnie kochali i szanowali. Aż zdarzyło się, że odkryłem to przedziwne jezioro. Zachwyciłem się tym miejscem. Przyjeżdżałem tu potajemnie, aż wpadłem na pomysł, aby zrobić na wyspie ustronny zakątek z dala od gwaru i tłoku. Wtedy zbudowałem ten zamek, prawie sam, przy pomocy tylko kilku zaufanych ludzi. Zwoziliśmy kryształ górski, złoto i srebro z powierzchni ziemi, z gór i dolin, a potem spuszczaaliśmy to w dół windą. A gdy zamek był gotowy i trysnęły fontanny, poczułem się szczęśliwy. Nie dopuściłem do tajemnicy nikogo, chciałem sam, tylko sam napawać się pięknem, spokojem, słońcem. I wtedy, mój ulubiony dworzanin, który wraz ze mną budował, a potem też cieszył się tymi cudami, zdradził mnie. Ogłosił w mieście, że nie trzeba ludziom króla i mianował sam siebie prezydentem, a mnie wygnał i wtrącił do tej oto izby, w której przebywam już pół wieku, a która ongiś służyła za magazyn kryształu. Patrzcie, jest tu jeszcze ta sama winda transportowa. Ów dworak, który nazwał siebie prezydentem Janem Godfrydem Pierwszym, również zachował tajemnicę jeziora i nadal strzeże sekretu, aby korzystać z piękna i słońca. Ale teraz, gdy zrobił z zamku więzienie, czas mojej zemsty nadszedł.

– Co chcesz zrobić, królu?

– Zobaczycie, jest sposób. Już prawie nikt nie wie, że żyję, że jest jeszcze stary król, nawet ci, którzy wierzą, że tu ktoś mieszka. Ale oni myślą, że to stary windziarz z dawnych lat, który stracił rozum i dlatego nie opuszcza tej nory.

Zamilkł, a potem krzyknął chrapliwie:

– Król Wygnaniec, Windziarz Oblakany!! Cha, cha, cha...

Dzieci się przestraszyły, dziewczynki się rozplakały. Sławek ścisnął z całej siły rękę Czar-Baby i chociaż też bał się i nie wszystko rozumiał, patrzył jak urzeczony na króla.

Po tym wybuchu król umilkł. W ciszy, która nastąpiła zadźwięczał cienki głosik Jagódki:

– Babuniu, kotek chce mleczka i ja też.

Wszyscy oprzytomnieli. Sławek podszedł do stołu i powiedział z zapalem:

– Królu, będę bił się za ciebie i ojczyznę.

Król po raz pierwszy uśmiechnął się:

– Ach, chłopcze miły widzę, że ci mamusia dużo książeczek czytała. Czar-Babo, daj dzieciom miodu i jagód, nic więcej mi nie dostarczono.

Czar-Baba krzątając się powiedziała:

– A jednak pamiętają cię, królu, starzy ludzie i mówią o tobie młodym, a nawet niektórzy twierdzą, że żyjesz i gdzieś mieszkasz, tylko nikt nie wie gdzie.

Król zmienił się na twarzy, oczy mu zabłyśły, usiłował wstać z tronu, ale zaraz opadł z powrotem.

– Za późno, za późno! Prędko już umrę. Teraz wyprowadzę was do Nadziemia, bo tam jest wasze miejsce – wskazał na windę – tyle lat stoi nieruchomo, ale teraz musi spełnić swoje ostatnie zadanie. Jest duża, bo wozila kryształ górski, zmieścimy się wszyscy. Wsiadajmy.

Okazało się jednak, że król nie może wstać z tronu, tak był słaby. Czar-Baba podniosła go i wprowadziła do windy, a dzieci umieściły w niej tron. Król usiadł, owinał się swym płaszczem, poprawił koronę na głowie i rozkazał:

– Przyciśnijcie czerwony guzik!

– Ja, ja przycisnę – wyrywał się Sławek.

Czar-Baba podniosła go i chłopiec z przejęciem i skupioną miną nacisnął guzik. Ale nic się nie stało, winda ani drgnęła.

– Ach, jakież jestem stary, pamięć mnie zawodzi – pożałował się król. – Tu trzeba jeszcze coś zrobić, ale co? Muszę sobie przypomnieć... Nie wiem.

Wtem zaszczebiotała Jagódka:

– Trzeba nóżką, nogą, tup, tup, jak nasza babunia.

– Tak, tak! Oto prawda w ustach dziecięcia – rzekł król i tupnął nogą.

Winda się ożywiła, zaczęła drgać, potem zgrzytnęła i ruszyła powoli do góry. Dzieci trochę się przestraszyły, bo przecież nigdy przedtem nie jeździły windą. Sławek chwycił spódnicę Czar-Baby, a ona przytuliła dzieci do siebie i tak jechali ku wolności. Trwało to dość długo, aż nareszcie winda się zatrzymała, drzwi same się otworzyły. Przed nimi stał stary bór sosnowy skąpany w przedwieczornym słońcu.

Czar-Baba wybiegła z dziećmi na polankę i zaczęła z nimi tańczyć i skakać z radości.

– Teraz pójdziemy prosto do domu – powiedziała. – Ale pomóżmy królowi.

To mówiąc podniosła go razem z tronem i wyniosła na polanę.

– Królu, zabiorę cię do mego domku i wyleczę ziołami. Zostaniesz, jeśli zechcesz z nami, na ziemi. Wszyscy będą się tobą opiekować, będziesz jak w rodzinie.

– Nie – rzekł słabym głosem. – Zanieście mnie w poblize pękniętej ziemi, chcę spojrzeć na mój zamek.

Czar-Baba z pomocą Sławka przeniosła tron z królem na brzeg szczeliny. Wszyscy spojrzeli w dół: tam, daleko na ciemniejszej już, szafirowej wodzie, otoczony pierścieniem złotego piasku, lśnił i połyskiwał wśród deszczu fontann kryształowy, cudowny zamek.

– Słuchaj, Czar-Babo – szepnął król. – Teraz umrę. Pochowajcie mnie tu, w tym miejscu. O tym marzyłem od dawna. Dzięki wam to ostatnie moje pragnienie zostanie spełnione. Sławku, chłopcze, za mnie nie będziesz się już bił, może kiedyś... za swą ojczyznę...

Nie mógł dalej mówić, zwiesił głowę i umarł. W tym samym momencie ziemia nad wyspą zatrzęsała się z hukiem, aż zadrżały sosny i spadło kilka szyszek. Świetliste, promienne życie kryształowego zamku zostało zabite przez ciemności. Taka była zemsta ostatniego króla- Wygnańca.

Sławek rozplakał się, a za nim dziewczynki.

– Babuniu, czemu on umarł? Myślałem, że będziemy mieli w domu prawdziwego króla i pójdę z nim na wojnę.

– Ach Sławeczku, on był bardzo nieszczęśliwy, chciał już umrzeć. Kiedyś to zrozumiesz. Teraz musimy go pochować.

Znaleźli w windzie resztki jakichś narzędzi, nawet połamaną łopatę. Wszyscy kopali, nawet Jagódka. Potem ustawili w grobie tron, posadzili na nim króla w koronie i płaszczu, usypali kopczyk, a Czar-Baba ułożyła na nim z drobnych kamieni napis:

Tu spoczywa nieszczęśliwy Król Feliks Dwudziesty Piąty

Rozdział ósmy

Powrót

Dziewczynki były bardzo zmęczone. Czar Baba wzięła je na ręce, Sławek znów uczeplił się jej spódnicy i tak poszli ciemną knieją, a słońce chyliło się już ku zachodowi. Czar-Babie nie trzeba było wskazywać drogi. Szła spiesznie pewnym krokiem. Dziewczynki zasnęły, chłopczyk po pewnym czasie zaczął przystawać.

– Nie dojdziemy przed nocą – pomyślała. Ułożyła dzieci na mchu i owinęła je swym wielkim fartuchem. Potem rozpałała ognisko, by węże, wilki i inne zwierzęta nie miały tu dostępu. Czuwała całą noc odganiając od twarzyczek dziecięcych komary i ćmy, płosząc hukające sowy i puszczyki. O świcie nazbierała jagód, upiekła w żarze ogniska znane sobie jadalne kornienie i grzyby, a gdy słońce wzeszło zawołała wesoło:

– Wstawajcie! Śniadanie gotowe!

Dzieci wygramoliły się spod fartucha wyspane i głodne. Śniadanie było wyborne. Wszyscy się posilili i już mieli ruszyć w drogę, gdy dziewczynki spostrzegły, że nie ma kotka. Jagódka się rozplakała, a Bogunia powiedziała:

– Spał razem z nami, a teraz go nie ma.

Sławek podszedł do sprawy po męsku:

– Wielka rzecz, co tam kot; uciekł, bo chciał wrócić do swojej rodziny. Nie płacz Jagódko, przecież masz w domu Mruczka. Chodźmy prędzej do mamy.

Ruszyli w dalszą drogę i wkrótce dzieci zapomniały o kocie. Przodem szła Czar-Baba rozgarniając gęste, nieraz kolczaste zarośla, potem dreptały dziewczynki, a pochód zamykał Sławek. Chłopiec uznał, że powinien być tylną strażą chroniącą orszak przed niespodziewanym niebezpieczeństwem. Niebawem jednak dziewczynki zaczęły pochlipywać i skarżyć się, że bolą je nóżki. Czar-Baba znów je niosła, a gdy już minęli te dzikie ostępy, postanowiła odpocząć. Dzieci zasnęły strudzone, a ona znów czuwała. Gdy południe minęło obudziła dzieci i szli dalej, już nie odpoczywając. I tak dotarli zdrożeni, ale szczęśliwi na skraj lasu.

Ukazała się chatka, rzeczka, jezioro, szuwary i trzy białe czaple dumające na brzegu.

– Patrzcie, to jest nasz dom – szepnęła Sławek, który był na tyle duży, aby mógł odczuć wzruszające piękno tej chwili.

Na progu siedziała ich matka. Umęczona czuwaniem spała. Ale z komina unosił się dym, a w oknie powiewała na wietrze firanka.

Dzieci puściły się biegiem przez łąkę krzycząc ile sił:

– Mamusiu, mamusiu! Rzuciły się matce na szyję szczebiocząc jedno przez drugie:

– I był król mamusiu, i żółwie, ale umarł, a jeden pan bardzo krzyczał na babunię i chciał nas złapać, ale uciekliśmy łódką, a król miał prawdziwą koronę, babunia tupnęła i król tupnął, i mieliśmy kotka, ale uciekł, ale to nic...

Jowita nic nie mówiła, o nic nie pytała, tylko z oczu jej ciekły nieprzerwanie strużki łez, a ręce przygarniały i przytulały do piersi odzyskaną gromadkę. Po długiej chwili wykrztusiła zdławionym głosem:

– Tatuś zaraz przyjedzie i... obiad gotowy...

Czar-Baba uśmiechnęła się, otarła fartuchem oczy i ruszyła do swego leśnego domku. A białe czaple wzleciały i krążyły nad jeziorem, nad chatką, nad łąką niby jasne obłoczki gnane powiewami wiatru.

Ostatni rozdział

Podczas gdy w domu Jowity nastaly dni radości i szczęścia, Czar-Baba nie mogła zaznać spokoju. Ciagle wracała myślą do podziemnego kraju. Co się teraz tam dzieje? Czy Tomira zdołała przeprowadzić swe plany? A może Gnom stał się jeszcze okrutniejszy, gdy mu się nie powiodło? Wreszcie Czar-Baba postanowiła dowiedzieć się czegoś na miejscu, bo znała przecież wejście do Podziemia. Znów przemierzyła drogę do serca puszczy. Gdy się zbliżała do podziemnego kraju, spostrzegła kryjącego się w zaroślach człowieka. Podeszła bliżej i rozgarnęła krzaki. Spojrzały na nią zaleknione oczy, ale już w sekundę potem człowiek ów zaczął się śmiać i ścisnąć jej ręce.

– Minister od dnia i nocy! – wykrzyknęła Czar-Baba uradowana.

– Tak, to ja! Z daleka nie poznałem pani, tak się cieszę, że panią widzę!

– I ja się cieszę. Co się u was dzieje i co pan robi w lesie?

– Ach, u nas wszystko jak najlepiej. Pani prezydentowa miała ze swym mężem tak głośną sprzeczkę, że wszyscy w pałacu ją słyszeli – cha, cha, cha! Potem Gnom zamknął się w swych pokojach i powiedział: „Róbcie, co chcecie, nic mnie już nie obchodzi!”. Wypuszczono większość więźniów i obrano nowego króla.

– Kto nim został?

– Taki młody Roch, pani go chyba nie zna. To rozumny i bardzo dobry młodzieniec. Zaraz zaopiekował się swym dziadkiem, staruszkiem, którego przyprowadzono z Lochów. A była też sensacja: przyniesiono z Lochów starego człowieka z łodzią, do której był przykuty żardzewiałymi łańcuchami. Dopiero na górze zdołano go rozkuć. Ludzie płakali patrząc na niego. Ten galernik, jak go nazywano, też został w pałacu, bo był podobno kiedyś ważną osobistością. Całe miasto się cieszy, a ja wybrałem się do lasu, aby znaleźć... niech pani popatrzy – tu rozwinął ostrożnie paperek i położył na dłoni mały, leśny fiołek. – To dla pani Tomiry – powiedział. – Ona jedna w Podziemiu lubi kwiaty.

Czar-Baba uśmiechnęła się szeroko, uściśnęła mocno rękę ministra i odeszła uspokojona i szczęśliwa.

Koniec.